

TA GRA JEST
W TWOJEJ
GŁOWIE



DONATO CARRISI
W LABIRYNCIE

AUTOR BESTSELLEROWEGO ZAKLINACZA

FILM W KINACH

ALBATROS

1

Podczas gdy dla przeważającej części ludzkości poranek dwudziestego trzeciego lutego był taki sam jak wszystkie inne, dla Samantha Andretti mógł się stać początkiem najważniejszego dnia w jej młodym życiu.

Tony Baretta powiedział, że chce z nią porozmawiać.

Przez całą noc Sam przekręcała się w łóżku, jakby naoglądała się horrorów. Próbowwała domyślić się powodów, które skłoniły jednego z najładniejszych chłopaków w szkole – i na całym świecie – do tego, żeby właśnie ją poprosić o rozmowę na wiadomy temat.

Wydarzenia te miały jednak początek w dniu poprzednim. Chłopak nie skierował swojej prośby bezpośrednio do niej, a nawet nie wyraził jej osobiście. Wśród nastolatków pewne sprawy wymagają przestrzegania ścisłych reguł. Jasne, że inicjatywa wychodzi zawsze od zainteresowanego, ale potem następuje długa procedura. Tony wykorzystał w tym celu Mike'a, chłopaka ze swojej paczki, a ten przekazał sprawę Tinie, koleżance Sam, która siedziała z nią w jednej ławce. Wreszcie Tina powiedziała o tym Sam. Zdanie było proste

i jasne, lecz w niepojętym świecie gimnazjalistów mogło oznaczać wiele rzeczy.

– Tony Baretta chce z tobą pogadać – szepnęła jej do ucha na lekcji wuefu, podskakując przy tym z radości. Miała podniecony głos i błyszczące oczy, ponieważ prawdziwa przyjaciółka cieszy się z dobrych rzeczy, jakie ci się przytrafiają, tak jakby spotkały ją samą.

– Kto ci to powiedział? – spytała natychmiast Sam.

– Mike Levin. Zaczepił mnie, kiedy wracałam z toalety.

Jeśli Mike zwrócił się z tym do Tiny, sprawa była poufna i taka powinna pozostać.

– Ale co on ci dokładnie powiedział? – zapytała Sam, chcąc mieć pewność, że Tina dobrze zrozumiała słowa kolegi. Nikt w szkole nie zapomniał, co przydarzyło się tej biednej Ginie D’Abbraccio, od tamtego czasu nazywanej „wdową”, kiedy pewien chłopak zapytał ją, czy ma już partnera na bal kończący rok szkolny, a ona wzięła jego zwykłą ciekawość za propozycję i wystrojona w długą tiulową sukienkę w kolorze brzoskwińowym czekała ze łzami w oczach na ducha.

– Powiedział mi: „Przekaż Samancie, że Tony chce z nią pogadać” – odparła Tina, powtarzając dosłownie to, co usłyszała od Mike’a.

Gdy zabrały się do omawiania sprawy, Samantha kazała jej oczywiście powtarzać te słowa wiele razy, aby mieć pewność, że Tina niczego nie przekręciła, lub może z obawy, że paru głupków postanowiło wpuścić jej koleżankę w maliny tylko po to, by się z niej ponabijać.

Sam nie została poinformowana, kiedy i gdzie miałyby się odbyć rozmowa z Tonym, co było dodatkowym powodem jej frustracji. Wyobrażała sobie, że może do niej podejść w

pracowni chemicznej albo w bibliotece. Albo za schodami do sali gimnastycznej, w której Tony Baretta trenował z drużyną koszykówki, a Samantha grała z koleżankami w siatkówkę. Należało wykluczyć godziny przychodzenia i wychodzenia ze szkoły oraz takie miejsca jak jadalnia i korytarze, ponieważ było tam za dużo ciekawskich oczu. Gdyby jednak dobrze pomyśleć, ten brak szczegółów był nie tylko torturą, ale stanowił też sedno sprawy. Sam nie potrafiłaby opisać dziwnego przechodzenia ze stanu euforii do głębokiego przygnębienia, w jakie wprawiała ją ta zwykła prośba, ponieważ spotkanie mogło sprawić jej miłą niespodziankę lub zawód, ale i tak czuła wdzięczność – tak, wdzięczność – za to, co właśnie przeżywała.

Poza tym to coś przydarzyło się właśnie jej – Samancie Andretti – i nikomu innemu!

Jej matka myliła się, mówiąc, że pewne rzeczy, które zdarzają się w trzynastym roku życia, można bardziej docenić, gdy się dorośnie i spojrzy na nie z perspektywy czasu. Bo w tym momencie Sam była zachwycona, że to szczęście spotyka właśnie ją i że nikt inny na świecie nie może go ani zrozumieć, ani przeżyć. I to sprawiło, że poczuła się uprzywilejowana... A może była biedną naiwniaczką, która miała się zderzyć z okrutną prawdą: w końcu Tony Baretta znany był z tego, że przechwalał się swoim powodzeniem u dziewczyn.

Samantha nigdy dotąd nie myślała o Tonym. Przynajmniej w takim sensie. Głos natury zaczął już w tajemniczy sposób odzywać się w jej młodym ciele i przywykła do składania tej drobnej comiesięcznej ofiary, która miała jej towarzyszyć przez większą część życia, ale aż do tej chwili nie była w stanie docenić pozytywnych skutków tej „przemiany”. Samancie

nigdy dotychczas nie przyszło do głowy, że jest ładna – a może wiedziała o tym już wcześniej, ale nie uznała tego za rzecz godną uwagi. W rzeczywistości zaokrąglenia jej ciała, które zaciekawiły chłopców, były objawieniem również dla niej.

Czyżby Tony też je zauważył? Czy chodziło mu właśnie o to? Żeby włożyć rękę pod koszulkę lub nawet – Jezu, wybac mi – sięgnąć niżej?

Dlatego w tym wyjątkowym dniu, dwudziestego trzeciego lutego, gdy zmęczona bezsennością przyglądała się pierwszym blaskom świtu pojawiającym się na suficie jej pokoju, doszła do wniosku, że słowa Tony’ego Baretty nie mogą być prawdziwe, że są jedynie owocem halucynacji. Albo prawdopodobnie myślała o tym za dużo i pośród meandrów gorączkowych fantazji przydarzających się każdej nastolatce jej myśli utraciły wiarygodność. Istniał tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć, czy nie została oszukana. W tym celu nie musiała zrobić nic innego, tylko podnieść zmęczone ciało z wilgotnego od potu łóżka, przygotować się i iść do szkoły.

Tak więc, ignorując upomnienia matki, że zjadła za mało na śniadanie – o rany, nie miała siły oddychać, a co dopiero jeść! – zarzuciła na ramiona plecak i pognała do drzwi, żeby odważnie, ale także z odrobiną rezygnacji, wyjść na spotkanie z przeznaczeniem.

Była za pięć ósma i ulice dzielnicy, w której mieszkała rodzina Andrettich, były niemal puste. Ci, którzy mieli pracę, wyszli z domu dużo wcześniej, bezrobotni zajęci byli leczeniem w łóżku skutków przepicia z poprzedniego wieczoru, starsi ludzie czekali na cieplejszą porę dnia, żeby wytknąć głowę z mieszkań, a uczniowie zwlekali do ostatniej minuty z wyjściem do szkoły. Prawdę mówiąc, pora była

nietypowa również dla Sam. Miała ochotę wstąpić po drodze do Tiny, jak się jej to często zdarzało, ale potem pomyślała, że przyjaciółka prawdopodobnie nie jest jeszcze gotowa, a ona nie miałaby cierpliwości czekać, aż Tina skończy się szykować.

Nie dzisiaj.

Idąc chodnikiem z szarej kostki, napotkała jedynie gońca szukającego adresu, pod który miał dostarczyć przesyłkę. Nawet go nie zauważyła, a i on rzucił tylko okiem na dziewczynkę, która cicho przeszła obok niego – patrząc na nią, nikt nie domyśliłby się wypełniającej ją duchowej rozterki. Minęła zielony dom państwa Macinsky, których zły czarny pies za każdym razem czaił się za płotem, żeby ją przestraszyć, potem domek z ogródkiem – kiedyś należał do pani Robinson, a teraz się rozpadał, ponieważ jej krewni nie potrafili dogadać się w sprawie spadku. Przeszła obok boiska do piłki nożnej za kościołem Najświętszego Miłosierdzia. W pobliżu znajdował się ogród z małym placem zabaw z huśtawkami i zjeżdżalnią, rosła też wielka lipa, na której ojciec Edward zawieszał ulotki z informacjami o wydarzeniach parafialnych. Podczas gdy okolica pogrążona była w ciszy, w głębi opustoszałej ulicy widać już było szeroką aleję, na której panował gorączkowy ruch pojazdów jadących do centrum.

Sam nie zwracała jednak na to wszystko najmniejszej uwagi.

Widok, jaki miała przed oczami, przypominał ekran, na który jej wyobraźnia rzucała uśmiechniętą twarz Tony'ego Baretty. Sam poruszała się bezwiednie, znając na pamięć trasę pokonywaną wcześniej setki razy.

Mimo to, gdy przeszła połowę drogi do instytutu, w którym mieściła się szkoła, ogarnęły ją nagle wątpliwości, czy

ubrała się odpowiednio na czekające ją spotkanie. Włożyła ulubione džinsy z brylancikami na tylnych kieszeniach i małymi rozdarciami na wysokości kolan, białą koszulkę oraz o dwa numery za dużą czarną bluzę z kapturem, którą ojciec podarował jej po powrocie z ostatniej podróży służbowej. Prawdziwy problem stanowiły jednak cienie pod oczami spowodowane długimi bezsennymi godzinami. Próbowwała ukryć je pod warstwą matczynego pudru, ale nie była całkiem pewna, czy to się jej udało – nie pozwalano jej robić makijażu, więc nie miała w tym doświadczenia.

Zwolniła i zaczęła przyglądać się autom zaparkowanym na jezdni. Natychmiast odrzuciła szarego metalizowanego dodge'a i beżowe volvo, ponieważ były zbyt brudne i nie spełniały jej oczekiwań. W końcu dostrzegła to, czego szukała. Po drugiej stronie ulicy stała biała furgonetka, której szyby lśniły jak lustro. Samantha przeszła na drugą stronę ulicy, żeby do niej podejść i się przejrzeć. Ale chociaż stwierdziła, że podkład całkiem dobrze ukrywa cienie pod oczami, nie od razu ruszyła dalej. Przez chwilę przyglądała się odbiciu swojej twarzy okolonej kasztanowymi włosami, które uwielbiała. Zadała sobie pytanie, czy rzeczywiście jest wystarczająco ładna dla Tony'ego, i spróbowała spojrzeć na siebie jego oczami. Co on we mnie zobaczył? Zastanawiając się nad tym, na chwilę przeniosła wzrok poza lustrzane odbicie.

To niemożliwe, pomyślała. I przyjrzała się lepiej.

W cieniu, po drugiej stronie szyby, dojrzała olbrzymiego królika, który przyglądał się jej bez ruchu.

Mogłaby uciec – coś jej mówiło, żeby zrobić to czym prędzej – mimo to nie uciekła. Stała zahipnotyzowana tym spojrzeniem, które zdawało się wylaniać z jakiejś otchłani.

To nie dzieje się naprawdę, pomyślała. I nie przydarza się mnie, powtórzyła sobie w duchu z typowym niedowierzaniem ofiar, które zamiast uciec przed swoim przeznaczeniem, w niewytłumaczalny sposób poddają się jego urokom.

Przez długą chwilę dziewczynka i królik przyglądali się sobie, jakby obojga popychała wzajemna chorobliwa ciekawość.

Chwilę później drzwi furgonetki otworzyły się nagle, pozbawiając ją widoku odbicia twarzy. W momencie gdy jej dziecięca buzia roztapiała się w nicości, nie dostrzegła nawet cienia strachu w swoich oczach. Może tylko błysk zaskoczenia.

Podczas gdy królik wciągał ją do swojej nory, Samancie nie przyszło nawet na myśl, że od tej chwili przez bardzo, bardzo długi czas nie będzie oglądać swojego odbicia.

2

Pierwszą rzeczą, jaka wydobyła się z ciemności, były dźwięki przypominające strojenie instrumentów orkiestry przed rozpoczęciem koncertu. Chaotyczne lub uporządkowane, ale ciągle ledwie słyszalne. Rytmiczne elektroniczne dźwięki. Koła wózków jeżdżących tam i z powrotem, dzwonienie uderzających o siebie szklanych naczyń. Przytłumione dzwonki telefonów. Szybkie, lekkie kroki. Wszystko wymieszane z niezrozumiałymi i dalekimi, choć na pewno ludzkimi głosami – od jak dawna nie słyszała żadnych głosów? Słyszała również swój oddech. Był regularny, ale głuchy. Brzmiał tak, jakby oddychała w jaskini. Nie, to tylko coś przyciskało jej twarz.

Drugim wrażeniem, które zanotowały jej osłabione zmysły, był zapach. Środka do dezynfekcji pomieszczeń. I jakiegoś lekarstwa. Tak, to musi być woń leków, pomyślała.

Spróbowała zorientować się, gdzie jest. Nie czuła własnego ciała, wiedziała tylko, że leży na plecach. Miała zamknięte oczy, ponieważ bardzo ciążyły jej powieki. Powinna jednak zmusić się do ich uniesienia. Musiała zrobić to szybko, zanim obezwładni ją to, co działo się wokół niej.

Muszę zapanować nad zagrożeniem. To jedyny sposób.

Głos, który odezwał się przed chwilą, dochodził z jakiegoś miejsca w jej wnętrzu. Nie było to wspomnienie, ale coś bezwiednego. Coś, co powstawało z biegiem czasu, dzięki kolejnym doznaniom. Musiała nauczyć się, jak przeżyć. To dlatego mimo otępienia było w niej ciągle coś, co bezustannie czuwało.

Otwórz oczy... otwórz te przeklęte oczy! I rozejrzyj się.

W polu widzenia pojawiła się wąska szczelina. Oczy były załamane, ale nie z powodu emocji, może tylko z utrapienia – rzadko już pozwalała temu nędznikowi na satysfakcję z tego, że oglądał ją płaczącą. Przez moment bała się, że napotka ciemności, ale odkryła niebieskawą poświatę, w której skąpana była przestrzeń wokół niej.

Wydawało się jej, że spoczywa na dnie oceanu. Czuła się wygodnie, wokół panował spokój.

Wiedziała jednak dobrze, że może to być tylko jakaś brzydka sztuczka; doświadczyła na własnej skórze, jak niebezpieczna jest zbytnia ufność. Gdy oczy przyzwyczyły się do nowych warunków, zaczęła się rozglądać, żeby zbadać najbliższe otoczenie.

Leżała na łóżku. Niebieskie światło sączyło się z kilku świetlówek pod sufitem. Znajdowała się w dużym, pomalowanym na biało pomieszczeniu bez okien. W głębi po lewej stronie widać było olbrzymią lustrzaną ścianę.

On nie lubi luster, podpowiedział jej znowu wewnętrzny głos. Jak to możliwe?

Zobaczyła lekko uchylone drzwi, a za nimi oświetlony korytarz. To stamtąd dochodziły dźwięki, które słyszała.

Wszystko to było nierealne. Bezsensowne. Gdzie ja

jestem?

Przed drzwiami stała odwrócona plecami ludzka postać w ciemnym ubraniu – dostrzegając ją w szczelinie obok futryny. Postać miała przy boku pistolet. Co to za sztuczka? Co to może oznaczać?

Dopiero teraz zauważyła, że niedaleko łóżka stoi stolik z mikrofonem i magnetofonem, a obok niego metalowe krzesło. Na oparciu wisiała męska marynarka. On jest gdzieś blisko, pomyślała. Wróci. I poczuła, że rośnie w niej fala strachu niczym morski przypływ.

Nie wolno się bać. Moim prawdziwym wrogiem jest strach. Muszę się stąd wydostać.

Nie byłoby to łatwe, nie sądziła, by wystarczyło jej sił. Spróbowała poruszyć rękami, oparła łokcie na materacu i uniosła się. Długie kasztanowe włosy przesłoniły jej twarz. Ciało było ciężkie, udało się jej unieść nieco pierś, ale natychmiast opadła z powrotem. Coś ją blokowało: maska tlenowa połączona z zaworem umocowanym do ściany. W ręce tkwiła igła do kroplówki. Szarpnęła za rurkę tlenową i wyciągnęła igłę z żyły. Jednak gdy tylko zabrakło jej dobrotczynnego tlenu, zorientowała się, że traci oddech. Dusi się. Zakasłała. Spróbowała wciągnąć do płuc powietrze, ale było ono gęstsze od świeżego podmuchu, którym dotąd oddychała. Przed oczami wirowały jej czarne punkciki.

Znowu opanowywała ją ciemność, ale się nie poddała.

Odsunęła prześcieradło, którym była przykryta od pasa w dół, i w półmroku dojrzała rurkę wychodzącą z jej pachwiny i podłączoną do przezroczystego worka z żółtawym płynem.

Leżąc ciągle na plecach, poruszyła prawą nogą, aby zsunąć się z łóżka. Coś przytrzymało jednak lewą nogę. Jakiś

ciężar. Kiedy niespodziewanie znalazła się na krawędzi łóżka, straciła podparcie i poczuła, że spada. Runęła na twardą i chłodną podłogę, uderzając w nią twarzą. Lewa noga upadła z głuchym odgłosem.

Hałas zwrócił czyjaś uwagę; wyraźnie usłyszała otwieranie i zamykanie drzwi. Potem zobaczyła cień biegnący w jej kierunku, który dzwonił czymś umocowanym przy jego boku – był to pęk kluczy zwisających z karabińczyka. Cień postawił parującą filiżankę na podłodze i chwycił ją pod pachy.

– Spokojnie, moja droga – usłyszała męski głos i poczuła, że się unosi. – Spokojnie – powtórzył nieznajomy, delikatnie manewrując jej niemal bezwładnym ciałem. – Nic się nie stało.

Czuła, że się dusi, traciła przytomność. Oparła głowę na piersi mężczyzny. Pachniał wodą kolońską i miał na sobie krawat, który wydał się jej czymś okrutnym, absurdalnym.

Potwory nie noszą krawatów.

Mężczyzna ułożył ją na łóżku, odsunął włosy z jej twarzy i nałożył jej maskę na usta. Płuca wypełnił tlen, przynosząc ulgę. Nieznajomy pomógł jej wyciągnąć się wygodnie, poprawił poduszkę pod lewą nogą, która była w gipsie sięgającym od kostki aż poza kolano.

– Tak będzie ci wygodniej – powiedział troskliwym tonem. W końcu podłączył jej kroplówkę, ponownie wbijając igłę w przedramię. Gdy wykonywał te czynności, nie przestawała na niego patrzeć ze zdumieniem.

Odzwyczaja się już od łagodnego obchodzenia się z nią. A przede wszystkim od towarzystwa ludzi.

Próbowała mu się przyjrzeć. Czy mogła go znać? Wydawało się jej, że nigdy go nie widziała. Przypuszczała, że ma około sześćdziesiątki; był mocno zbudowanym mężczyzną i nosił

okrągłe okulary w ciemnych oprawkach. Miał potargane włosy. Oprócz karabińczyka z kluczami przymocowanego do paska, miał jeszcze mały identyfikator ze zdjęciem, przypięty do kieszonki ciemnoniebieskiej koszuli, której rękawy były podwinięte do łokci.

Kiedy skończył, uniósł z podłogi filiżankę i postawił ją na stoliku, gdzie stał też żółty telefon.

Telefon? To niemożliwe!

– Jak się czujesz? – spytał.

Nie odpowiedziała.

– Możesz mówić?

Milczała dalej, wpatrując się w niego wytrzeszczonymi oczami, gotowa go zaatakować.

Mężczyzna podszedł do łóżka.

– Rozumiesz, co do ciebie mówię?

– Co to za zabawa? – spytała nagle ochryplym głosem, przytłumionym przez maskę tlenową.

– Słucham?

Odchrząknęła, żeby oczyścić gardło.

– Co to za zabawa? – powtórzyła.

– Przykro mi, ale nie wiem, co masz na myśli – odparł. – Nazywam się Green i jestem lekarzem – dodał.

Nie знаła żadnego doktora Greena.

– Znajdujesz się w szpitalu Świętej Katarzyny. Wszystko idzie dobrze.

Usiłowała przyjąć do wiadomości jego słowa, ale bez skutku. Święta Katarzyna, szpital – te informacje nic jej nie mówiły.

Nie, nie wszystko idzie dobrze. Kim właściwie jesteś? I tak naprawdę czego ode mnie chcesz?

– Domyślam się, że ta sytuacja wytrąca cię z równowagi – powiedział mężczyzna. – To normalne, jesteś tu zbyt krótko.

– Przez chwilę wpatrywał się w nią ze współczuciem.

Nikt tak na mnie nie patrzy.

– Trafiałś tu dwa dni temu – ciągnął. – Spałaś prawie czterdzieści osiem godzin. Ale już się obudziłaś, Sam.

Sam? Kto to jest Sam?

– Co to za zabawa? – spytała po raz trzeci.

Być może mężczyzna zauważył zakłopotanie na jej twarzy, bo teraz wydawał się zaniepokojony.

– Wiesz przecież, kim jesteś, prawda?

Zastanawiała się przez chwilę, bojąc się odpowiedzieć.

Mężczyzna uśmiechnął się z przymusem.

– Okej, jedna rzecz na raz... Jak myślisz, gdzie teraz jesteś?

– W labiryncie.

Green rzucił okiem w stronę lustra, po czym znowu odwrócił się do niej.

– Powiedziałem ci, że znajdujemy się w szpitalu. Nie wierzysz mi?

– Sama nie wiem.

– To już jest coś, i to mnie cieszy. – Usiadł na metalowym krześle i pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach i spletając dłonie w przyjaznej pozie. – Dlaczego wydaje ci się, że jesteś w labiryncie?

Rozejrzała się wokół siebie.

– Tu nie ma okien.

– To dziwne, masz rację. Jednak, widzisz, to jest pomieszczenie specjalne: znajdujemy się na oddziale oparzeń. Umieszczono cię tu, ponieważ twoje oczy odzwyczyły się

od naturalnego światła. Mogłoby się okazać szkodliwe, dokładnie tak, jakbyś doznała oparzenia. To jest także powód, dla którego używamy tu ultrafioletowych lamp.

Oboje spojrzeli w górę na niebieskawe świetlówki.

Mężczyzna odwrócił się do ściany z lustrem.

– Tam jest pokój, z którego lekarze i krewni mogą przyglądać się pacjentowi, nie narażając go na ryzyko zakażenia... Wiem, że wygląda to na pomieszczenie do przesłuchań, jakie widuje się w telewizji albo w kinie – próbował zażartować. – Na mnie od razu wywarło takie wrażenie, kiedy zobaczyłem je po raz pierwszy.

– On nie lubi lusterek – odparła bez namysłu.

Doktor Green przybrał znowu poważną minę.

– On?

– Nie wolno używać lusterek. – I rzeczywiście, aż do tej chwili unikała odwracania się w stronę ściany po lewej stronie.

– Kto zakazał używania lusterek?

Nie odpowiedziała, uznając, że milczenie powinno wystarczyć. Mężczyzna po raz kolejny posłał jej wyrozumiałe spojrzenie. Było łagodne niczym pieszczota, ale coś w jej wnętrzu zareagowało gniewem. Nie była jeszcze niczego pewna.

Nie pozwolę się oszukać.

– No cóż, zgódźmy się co do tej kwestii – rzekł Green, nie czekając na jej odpowiedź. – Jeśli lustra są zakazane, a tutaj znajduje się jedno z nich, to w takim razie może nie przebywasz już w labiryncie. Zgodzisz się ze mną?

Rozumowanie było proste i jasne. Ale po tylu kłamstwach – po tylu grach – ciężko jej było obdarzyć kogoś zaufaniem.

– Pamiętasz, w jaki sposób trafiłaś do labiryntu?

Nie, nie pamiętała nawet tego. Wiedziała, że gdzieś tam jest „świat zewnętrzny”, ale miała jedynie pewność, że ciągle jest uwięziona w tej ponurej dziurze.

– Posłuchaj, Sam. – Ponownie wymówił jej imię. – Nadszedł czas na wyjaśnienie pewnych rzeczy, ponieważ, niestety, nie mamy go za wiele.

Co on ma na myśli?

– Mimo że jesteśmy w szpitalu, ja tak naprawdę nie jestem lekarzem. Moim zadaniem nie jest leczenie ciebie, są tu osoby dużo lepiej przygotowane do tego, żeby zająć się twoim zdrowiem. Moim zadaniem jest polowanie na złoczyńców, takich jak ten, który cię porwał, a potem przetrzymywał w labiryncie.

Porwał mnie? O czym on mówi?

Kręciło się jej w głowie, nie była pewna, czy chce kontynuować tę rozmowę.

– Wiem, że to bolesne, ale musimy to zrobić. Nie ma innego sposobu, żeby go schwytać.

Co może znaczyć to „go schwytać”? Nie była pewna, że chce w tym uczestniczyć.

– Jak się tu znalazłam?

– Prawdopodobnie udało ci się uciec – odparł natychmiast Green. – Dwa dni temu policyjny patrol znalazł cię w nocy na drodze w niezamieszkanym okolicy, w pobliżu bagien. Miałaś złamaną nogę i byłaś bez ubrania. – Po chwili dodał: – Prawdopodobnie uciekałaś, sądząc po obrażeniach, jakie odniosłaś.

Przyjrzała się swoim rękóm, na których było mnóstwo drobnych obtarć.

– To prawdziwy cud, że ci się udało.

Nie pamiętała niczego.

– Byłaś w stanie szoku. Funkcjonariusze przewieźli cię do szpitala i zawiadomili wydział zajmujący się ciężkimi przestępstwami. Próbowali znaleźć jakąś wskazówkę w doniesieniach o zaginięciu i zdołali ustalić twoją tożsamość... Nazywałeś się Samantha Andretti.

Sięgnął ręką do kieszeni marynarki zawieszanej na oparciu krzesła, wyjął kartkę i jej podał.

Przyjrzała się kartce uważnie. Była to ulotka ze zdjęciem uśmiechniętej dziewczynki z kasztanowymi włosami i piwnymi oczami. Pod fotografią widniało jedno słowo wydrukowane czerwoną farbą.

ZAGINIONA.

Poczuła ucisk w żołądku.

– To nie jestem ja – powiedziała i oddała mu ulotkę.

– Nic dziwnego, że tak mówisz – rzekł Green. – Ale nie musisz się niczym martwić, zrobiłaś już wielkie postępy w porównaniu ze stanem, w jakim byłaś w momencie, gdy cię znaleziono. Żeby zmusić cię do posłuszeństwa i lepiej cię kontrolować, twój porywacz podawał ci leki psychotropowe, w twojej krwi znaleziono je w dużych ilościach. – Następnie wskazał ręką kroplówkę podłączoną do jej przedramienia. – Otrzymujesz teraz coś w rodzaju odtrutki. I ona działa, bo odzyskałaś świadomość. Szybko odzyskasz również pamięć.

Chciała w to uwierzyć. Pragnęła tego ze wszystkich sił.

– Jesteś uratowana, Sam.

Słyszając to, poczuła, że ogarnia ją dziwny spokój. Uratowana, powtórzyła w duchu. Poczuła, że w kąci oka pojawiła się maleńka łza. Miała nadzieję, że tam pozostanie, ponieważ nie mogła pozwolić sobie na osłabienie czujności.

– Niestety, nie możemy się spodziewać, że leczenie odniesie całkowity skutek, i dlatego tu jestem – powiedział Green i spojrzął na nią. – Będziesz musiała mi pomóc.

– Ja? – spytała z przestachem. – Jak mogę panu pomóc?

– Przypominając sobie jak najwięcej rzeczy, także tych najmniej znaczących. – Wskazał znowu ścianę z lustrem. – Tam, po drugiej stronie, są oficerowie policji, będą przysłuchiwać się naszym rozmowom i przekażą wszelkie szczegóły, które wydadzą się im ważne, agentom próbującym schwytąć twojego porywacza.

– Nie wiem, czy będę umiała. – Była zmęczona, przestraszona i pragnęła tylko odpocząć.

– Posłuchaj, Sam, chciałabyś przecież, żeby ten człowiek zapłacił za to, co ci zrobił, prawda? A przede wszystkim nie chcesz chyba, żeby to samo przytrafiło się komuś innemu...

Łza spłynęła po policzku i zatrzymała się na krawędzi maski tlenowej.

– Jak się pewnie domyśliłaś, nie jestem policjantem – ciągnął Green. – Nie noszę pistoletu, nie zajmuję się ściganiem przestępców i nie narażam się na to, że będą do mnie strzelać. Przeciwnie, prawdę mówiąc, nie mam na to nawet dość odwagi. – Skwitował śmiechem własny żart. – Ale mogę cię zapewnić o jednym: schwytamy go razem, ty i ja. On o tym nie wie, ale jest takie miejsce, z którego nie będzie mógł uciec. I to tam zorganizujemy polowanie: nie w prawdziwym świecie, tylko w twoim umyśle.

Ostatnie zdanie doktora Greena przyprawiło ją o dreszcz. Mimo że nie potrafiłaby tego przyznać, zawsze wiedziała, że on wszedł do jej głowy – niczym jakiś pasożyt.

– I co teraz powiesz, ufasz mi?

Po chwili wyciągnęła do niego rękę.

Green skwitował jej decyzję skinieniem głową, a potem oddał jej ulotkę.

– Dobrze, jesteś moją dzielną dziewczyną.

Podczas gdy ona próbowała oswoić się z widokiem twarzy na zdjęciu, doktor odwrócił się do stolika z magnetofonem i włączył nagrywanie.

– Sam, ile masz lat?

Przyjrzała się uważnie fotografii.

– Nie wiem... Trzynaście? Czternaście?

– Domyślasz się, ile czasu spędziłaś w labiryncie?

Pokręciła głową. Nie, nie mam pojęcia.

Doktor Green coś zanotował.

– Jesteś pewna, że nie rozpoznajesz na tym zdjęciu żadnego szczegółu dotyczącego siebie?

Znowu przyjrzała się fotografii.

– Włosy – odparła i przeciągnęła dłonią po swoich lokach.

– Uwielbiam je.

Tam, w labiryncie, głaskanie się po włosach jest moją najlepszą rozrywką.

To przypomnienie uderzyło ją nagle niczym błysk flesza.

Przeczesałam je palcami dla zabicia czasu, kiedy czekam na jakąś nową zabawę.

– Nic innego?

Chciałabym mieć lusterko. Ale on nie chce mi go dać.

Ogarnęły ją wątpliwości.

– Czy ja jestem... ładna? – spytała przestraszona.

– Tak, oczywiście – potwierdził z czułością doktor. – Ale chciałbym być wobec ciebie szczerzy... Wiem, dlaczego on zabraniał posiadania lusterek.

Poczuła niepokój.

– Chciałbym, żebyś odwróciła się do ściany po lewej stronie i stwierdziła to sama...

W ciszy, jaka zapadła w pokoju, słyszała tylko swój oddech, który przyspieszał – gorączkowe pragnienie tlenu. Spojrzała w oczy doktora Greena, żeby się dowiedzieć, czy powinna się czegoś obawiać. Ale jego mina pozostawała taka sama. Domyśliła się, że chodzi o coś w rodzaju próby i że nie może się przed nią uchylić. Zaczęła powoli odwracać głowę na poduszce. Poczuła, jak gumka maski naciąga się na jej policzku.

Zobaczę teraz dziewczynkę z ulotki i nie rozpoznam samej siebie, pomyślała. Ale prawda wyglądała tysiąc razy gorzej.

Ujrzawszy odbicie swojej twarzy, przez jakiś czas starała się rozpoznać w nim siebie.

– Zostałaś porwana pewnego ranka w lutym, gdy szłaś do szkoły – wyjaśnił doktor.

Widoczna w lustrze postarzała dziewczynka z kasztanowymi włosami zalała się łzami.

– Przykro mi – powiedział Green. – Wydarzyło się to piętnaście lat temu.